

605

W wydawnictwie BGW ukazą się w najbliższym czasie zapiski Izabelli Cywińskiej, która w rządzie Tadeusza Mazowieckiego kierowała resortem kultury. Książka, zatytułowana „Nagle zastępstwo” obejmuje owe kilkanaście miesięcy i zawiera bardzo różne notatki. Czasami – jak to często bywa z dziurkami – nował zajęć i zmęczenie powodowały luki w zapiskach. Czasami skomplikowane sprawy nie poddawały się zapisowi. Pamiętać jednak należy, że nie jest to dziennik czynności ministra kultury, lecz notatki człowieka teatru, którego powołano do rządu. Wybraliśmy kilka fragmentów ukazujących ich charakter.

7 XI 1989

Pracy coraz więcej, ale kwiatów, którymi zasypywana byłam od początku, coraz mniej u mnie w gabinecie. I nie jest to sprawa tylko pory roku. Jeszcze miesiąc temu Hanna nie mogła nastarczyć z wazonami. Czulałam się jak w kwaciarni. Skończył się miesiąc miodowy!

Jacek Ambrosiak ostrzegł mnie zaraz po powrocie z Francji, że Miszo-

niki drą się radośnie i optymistycznie i nie da się uniknąć porównań, że kiedyś tak darty się 1 Maja. Nie da się uniknąć porównań i nie da się uniknąć myśli, że tamto święto, świętowane u początków w najlepszej przeciwieństwie intencji, stało się z czasem kłamstwem i oszustwem, bo ludźmi rządzą strach. Szłam do ministerstwa bocznymi uliczkami, bo Plac Zamkowy był ogrodzony. Płoty, płoty wokół trybun. Pełno milicji w sukach. Teraz to już nie

przemijania i wreszcie także złość na mnie, że się osmieliłam niepokoić go taką propozycją, która burzy jego spokój potrzebny do pracy. Złość, ale też zadowolenie, że jeśli zechce to będzie mógł decydować o dalszym losie narodowej sceny.

Rozmów było w sumie trzy, a jeśli liczyć wczorajsze spotkanie na Placu Zamkowym – to cztery. Dwie pierwsze były fascynujące. To była wielka improwizacja zagrana dla jednego widza. Dla mnie. Tadeusz snuł plany, przedstawiał wizje. Był ogromnie podniecony zadaniami, które stanęły przed nim. Dokładnie wiedział co robić. Układał repertuar, poprawiał błędy architektury w odbudowywanym już gmachu, redagował wydawnictwa, wszystkie wedle najlepszych, znanych wzorów i własnych pomysłów. Tadeusz jest żarliwy i wykształcony, toteż ta improwizacja miała nie tylko świetną

formę, ale również własną dramaturgię, podporządkowaną ogromnej chęci działania. Robiło to wrażenie, że chce już! Natychmiast! Nie musiałam nic mówić. Słuchałam. Tadeusz zagrał cały Teatr Narodowy. I takie były dwa pierwsze spotkania.

Trzecie, króciutkie na Placu Zamkowym w dramatycznym otoczeniu niechętnego ludu Warszawy – było jakby jego dopełnieniem, tyle że całkiem nie à propos. Zajęty własnymi myślami, zirytowany moim spotkaniem, przypominającym mu o konieczności podjęcia decyzji, pewnie nie zauważył groźnych pomruków adresowanych także do niego, inteligenta, artysty.

Było tak, jak w niezawodnym dowcipie o sekatorze. Skończyła się machnięciem ręki i zapowiedzią wizyty w ministerstwie. Poprosiłam, by tym razem towarzyszył mi Andrzej Ziębiński, Tadeusz przyszedł spokojniejszy, długo mówił, jakby trochę obok (właśnie w tym momencie zabrzmiła mi w jego słowach nuta „babiego lata”, przesmiania, żalu że nie można mieć wszystkiego naraz, tego co się kocha, tego co by się umiało i chciało mieć) i wreszcie znowu zagrał. Tym razem było nas dwoje widzów i już nie było improwizacji, ale prawdziwy król Lear, tyle że wyrażony w akcie strzelistym. To był okrzyk bólu, że tego króla Leara, którego Lomnicki nosi w sobie, nie da się zagrać na scenie Teatru Małego („król idzie z zamkniętymi oczami i jest to tak, jakby papież rozdawał chlebsciństwo”). On musi zagrać go TERAZ. Nie ma już czasu na odkładanie niczego... TEATRU NARODOWEGO nie weźmie.

To było piękne, wzruszające i bardzo potrzebne mi, dziś urzędnikowi, żeby przypomnieć, co to naprawdę

znaki z ołtarza, ani na koncert do Opery Leśnej. Wsiadłam do samochodu i odjechałam.

18 IX 1990

Pogrzeb Eichlerówny. Zimno. Pusty kościół. Jak weszłam były tylko jakieś babinki, staruszkowie. Z lewej strony pod katedrą spostrzegłam siwą głowę Andrzeja Lapickiego. I jeszcze Kazik Janus z twarzą jak maska, z puchem zamiast włosów na różowej czaszce. Ksiądz, przyjaciel pani Leny mówił homilię drżącym głosem, wzniósł i patetycznie. Ale z serca. Po chwili przestało mnie to nawet drażnić. Zasiadłam się. Myślałam o prawdziwym teatrze zrodzonej z nieprawdy życia. Umiłowaniu formy, która jest samym „sztukstwowem”. Banalne, ale takie przecież, czy ktoś to lubi czy nie, było aktorstwo pani Leny.

by zwałć winę na naszą stronę za to co się stało. „Winny Drawicz, winny Geremek!” To się zaczęło dużo wcześniej, już na samym początku był konflikt – bo Wałęsę odtrącono. To było już przy okrągłym stole! – gdy krzyknął powiedziałam, że się spieszę i odeszłam.

Przedtem także gromił Jan Nowak Jeziorański. Broniliśmy się z Onyszkiewiczem z całej mocy. Ale on nie chciał słyszeć – „Mazowiecki nie miał prawa składać dymisji przed zaprzysiężeniem prezydenta”. – Dlaczego nie? – „Bo tak się nie robi! Czy wiecie ileście stracili w oczach Zachodu?” – powtarzał. I nie chciał słuchać naszych racji.

Dzisiaj miała być przyjęta przez Sejm nasza dymisja. Po sprawozdaniu. Odłożyli na jutro, bo spowolnie nie zdążyli przerobić zadanej im lekcji. (A pogrzeb Kantora ze względu na moje zajęcia przełożony z dzisiaj na jutro)

Dzisiaj było pierwsze czytanie budżetu. Wszyscy się wymadrzali, Boże, ile cierpliwości wymaga demokracja!

Kawa z Andrzejem Lapickim. Znowu temat, kto ma objąć Teatr Narodowy. Rozmawiałam przedwczoraj z Holoubkiem, bo doniesiono mi, że zmienił decyzję i może weźmie. Okazało się plotką.

Ciągłe nie wiem co robić. W międzyczasie byłam w Teatrze Małym (po remoncie) na „Kitowiczu” Grabowskiego i przestałam się dziwić odmowie. Teatr Narodowy na zapleczu budki handlarzy, pseudonowoczesny i brudny, a w dodatku z małymi pieniędźmi. Pozostał tylko szyld, który zobowiązuje! Ale „Kitowicz” bardzo interesujący.

Znakomite przyjęcie Nyczakowych „Dom i huzarów” z naszego teatru. Dawno się tak nie bawiłam! Aktorzy też. A Nyczak? Zaledwie parę tygodni życia mu zostało. Czy ten warszawski sukces go ucieszy, czy też to co było tak dramatyczne i ważne kiedyś, teraz uzna za marność nad marnościami.

Wczoraj na Radzie Ministrów bez Mazowieckiego, jako pierwszy punkt rozpatrywana była nareszcie moja ustawa „O działalności kulturalnej” dwukrotnie zdejmowana z porządku dziennego z uwagi na „uwagi” (nowe) ministerstwa finansów. Tam każdy sobie! Z jednym się ustalił, to drugi podsekretarz krzyczy: **Veto!**

Znowu ostra dyskusja z Balczerowiczem. Był zdenerwowany (rano miał rozmowę z kandydatem na nowego premiera). Ja nie ustępowałam. Tym razem kontrolowana histeria. Nigdy bym sobie na to nie pozwoliła, gdyby był Mazowiecki. Walka trwała dwie godziny. Zawarliśmy kompromis w sprawach podatków dla instytucji kultury. Ale cała ta ustawa to i tak wielkie zwycięstwo. Takie „wyjątki” są tylko dla nas, dla kultury. Przed odejściem konieczne jeszcze muszę doprowadzić do sfinalizowania sprawy Fundacji Kultury ze wszystkimi ulgami. I bony kapitałowe z odziedziczonych po RSW drukarniach i wydawnictwach. To posag dla kultury. A poza tym bank. Jeśli załatwimy te bony (20 proc. wartości po sprywatyzowaniu) to kultura będzie zamożna. Za parę lat!

Jak o tym pomyślę, szkoda mi odchodzić, ale kiedy słucham co się dzieje wokół, to już chciałabym zniknąć. Natychmiast. Dyktatura prawdziwego proletariatu, ale tym razem bez kompleksów, na biało i z ferefremem.

Boże, ile cierpliwości wymaga demokracja!

ZJADANIE ŻABY

IZABELLA CYWIŃSKA

wiecki ma do mnie pretensje. Pod moją nieobecność w TV ukazała się informacja o jakiejś inicjatywie ministra Jagielly, podczas kiedy on jeszcze nie dostał nominacji. A poza tym premier otrzymał podobno list od Millera z KC, z donosem na mnie, że wyrzuciłam wszystkich pantyjnych, bez dania racji, na bruk, że komisja Starczewskiego wykończyła wartościowych ludzi. Bzdura! Na dowód tego przytoczyłam casus Janasa. Jedyny naprawdę kompetentny spośród starego grona, został i – mało tego – za nic na świecie nie chciałabym go puścić.

Musiłam organizować koncert z okazji święta narodowego ZSRR. Okazało się, że to bardzo delikatna sprawa z tym świętem. W TV przez nie dopatrzenie (?) zamonsowali je jako Rocznice Rewolucji. W mieście zawrzało. Musiałam się tłumaczyć. Całość wypadła przyzwoicie. Dyrygował Kord, jak zwykle wspaniale, Szymanowski, Beethoven i mój kochany Szostakowicz. Nie było żadnych przemówień, tylko dwa małe teksty w programie. Po 45 latach czczenia tego dnia „na kolanach” – zmiana była rewolucyjna – oczywiście dla tamtej strony. Był m.in. Jaruzelski i Rakowski, a z naszej strony premier i marszałekowie.

Pierwsze spotkanie w nowej sytuacji z Rakowskim. Jak mnie zobaczył zaśmiał się serdecznie i zrewanżował pytaniem, które kiedyś ja mu zadałam „Po co pani jeść tę żabę?!”. Po tem pytał, czy dalej piszę pamiętnik (w 82 roku w trakcie spotkania po internowaniu, opowiedziałam mu, że klawisz zniszczyli mi wszystkie notatki), bo on tak.

Rada Ministrów. Piąta godzina dyskusji i jeszcze więcej pewnie przed nami. Mam już wszystkiego dosyć.

„suki”, tylko wozy milicyjne – pomyślałam. Wszyscy kłaniali mi się nisko, pozdrawiali, jakiś starszy pan w cywilu wyszedł mi naprzeciw, powitał w sposób szczególnie serdeczny i obiecał: „Będziemy was chronić”. Przypuszczalnie przedtem też chronił, więc będzie robił to dobrze – pomyślałam i dalej szłam radosna i rozpieszczone szczęście i byłam wzruszona, bo potem była piękna defilada (jakie wspominała się mundury naszych reprezentacyjnych oddziałów, odprawa wam, prezydent, premier, trybuna pełna znajomych i przyjaciół). Aktorzy, pisarze, politycy – poza paroma – wszyscy swoi.

Potem cocktail w Domu Polonii. Soki i orzeszki. Spiewała Stefania Wójtowicz, recytowała Nehrebecka patriotycznie i byłoby przyjemnie nadal, gdyby nie uroczystość popołudniowa na Zamku Królewskim. Szłam z domu pieszo, bo to parę kroków, cała przebrana już na wieczorowo, a chcąc skrócić sobie drogę szukałam przerwy między plotkami, które odgradzały ludzi od placu.

Na plac, pod główny wjazd do zamku podjeżdżały czarne limuzyny, wysiadali z nich poprzebierani, też na czarno lub w galowych strojach narodowych – dyplomaci. Wyglądało to naprawdę, jak na przedwojennych filmach, bo salutowali im jak struny wyciągnięci chłopcy, jak malowanie, w galowych mundurach. Zatrzymałam się wśród zgromadzonych ludzi i patrzyłam z zachwytem. Doszedł do mnie Tadeusz Lomnicki, też wydawało mi się – zapatrzone – było w tym coś pięknego, coś z naszych marzeń i tęsknot.

Spojrzałam dookoła i zamarłam: twarze stojących obok mnie były smutne,

formę, ale również własną dramaturgię, podporządkowaną ogromnej chęci działania. Robiło to wrażenie, że chce już! Natychmiast! Nie musiałam nic mówić. Słuchałam. Tadeusz zagrał cały Teatr Narodowy. I takie były dwa pierwsze spotkania.

Trzecie, króciutkie na Placu Zamkowym w dramatycznym otoczeniu niechętnego ludu Warszawy – było jakby jego dopełnieniem, tyle że całkiem nie à propos. Zajęty własnymi myślami, zirytowany moim spotkaniem, przypominającym mu o konieczności podjęcia decyzji, pewnie nie zauważył groźnych pomruków adresowanych także do niego, inteligenta, artysty.

Było tak, jak w niezawodnym dowcipie o sekatorze. Skończyła się machnięciem ręki i zapowiedzią wizyty w ministerstwie. Poprosiłam, by tym razem towarzyszył mi Andrzej Ziębiński, Tadeusz przyszedł spokojniejszy, długo mówił, jakby trochę obok (właśnie w tym momencie zabrzmiła mi w jego słowach nuta „babiego lata”, przesmiania, żalu że nie można mieć wszystkiego naraz, tego co się kocha, tego co by się umiało i chciało mieć) i wreszcie znowu zagrał. Tym razem było nas dwoje widzów i już nie było improwizacji, ale prawdziwy król Lear, tyle że wyrażony w akcie strzelistym. To był okrzyk bólu, że tego króla Leara, którego Lomnicki nosi w sobie, nie da się zagrać na scenie Teatru Małego („król idzie z zamkniętymi oczami i jest to tak, jakby papież rozdawał chlebsciństwo”). On musi zagrać go TERAZ. Nie ma już czasu na odkładanie niczego... TEATRU NARODOWEGO nie weźmie.

To było piękne, wzruszające i bardzo potrzebne mi, dziś urzędnikowi, żeby przypomnieć, co to naprawdę



Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

Przebrałam ulgi na czynsze za pracownię plastyczne. Paszyński kategorycznie się nie zgodził. „Albo przywitajcie — albo demokracja” — krzyczeli, bijąc w moje argumenty, które wytoczyłam w walce przeciw równaniu artystów z rzemieślnikami. Znalazły się na podorędziu nawet cyfry. Udowodniłam, jakże plastycy mają średnie zarobki. Wyższe, dużo wyższe od drobnego rzemieślnika, a do tego prawo do „uzysku”.

Nie udało się! Potem, bez końca dyskusja na temat „Wiadomości” i TV w ogóle. Atak na Drawicza za telewizję antyrządową. Drawicz bronił się: „Nie antyrządową, ale obiektywną! Tego oczekujemy od tej telewizji. Inaczej telewizja nie będzie wiarygodna”. Jacek Ambroziak argumentował najostrożniej, przytaczał fakty, walił po oczach. Drawicz niby spokojny, z ironicznym uśmiechem, ale nie umiejący ukryć wściekłości: „Mam widać pecha, że nie przydadł mi się do gustu — powiedział Babel po pierwszym spotkaniu ze Stalinem”. Zacytował tę anegdotkę i dalej grzecznie i godnie odpowiadał Ambroziakowi.

Racja jest po obu stronach, a wina leży w nawykach odbiorców. Widzowie przyzwyczajeni do telewizji rządowej, każdy głos krytyczny, każdą opinię łączą obecnie również z rządem i robi się z tego gigantyczne zamieszanie. Dezinformacja zamiast obiektywizmu. Bo kto z normalnych ludzi wychowanych w socjalizmie zrozumie, że krytyka rządu w rządowej telewizji nie musi być wykładnią rządową. Na wszystko potrzebny jest czas. A w sferze świadomości potrzeba go najwięcej.

Lubimów, ze swoim londyńskim „Hamletem” w sali Romy. Przedstawienie wspaniałe formalnie, ale bez Wysockiego i bez brąznirowskiego podtekstu znaczy zupełnie co innego, niż tamten niezapomniany spektakl z Taganki. Jest pusty. Jeszcze raz potwierdziło się, jak bardzo polityka buduje teatr, ale też jak potrafi go zniszczyć.

3 V 1990

Po raz pierwszy święto narodowe obchodzimy 3 Maja.

Słonecznie, jasno, wiosennie, ludzie odświętnie ubrani, uśmiechnięci. Głos-

nie stępnie dotarli byśmy znowu: „Ode-
lują, poprzebierali się i jakże mają sa-
mochody”... itd. Kipiła zazdrość. Szu-
kałam innych twarzy. Bezskutecznie.

Potem uroczyste nabożeństwo w ka-
tedrze. Był premier, był Jaruzelski,
byli posłowie, senatorzy, rząd i partia.
Kiedy wehodziliśmy, usłyszaliśmy okrzy-
ki: „Targowica”. To krzyczeli ludzie
zza plotków.

W kościele uroczysta, podniosła at-
mosfera. Modliliśmy się za Ojczyznę,
za demokrację, za naród. Piękna ho-
milia i patriotyczne śpiewy. Wysłałam
wcześniej, bo miałam razem z prezy-
dentem Weizsaeckerem otwierać wysta-
wę wydawnictw Dedejusza w muzeum
historycznym na Starym Rynku. Led-
wie wyszłam, zatrzymał mnie krzyk.
Tym razem były to kobiece głosy, tak-
że zza plotków, odgrzających tłum
od wejścia do kościoła. Usłyszałam:
„Nawet Boga zabraliście nam dla sie-
bie, tylko dla siebie. Zdrajcy”. Błąd:
nie wystawiono głośników na zewnątrz!
Nawet w ten sposób ludzie nie mogą
współuczestniczyć w uroczystościach.
Rozłożyłam bezradnie ręce wskazując
na mężczyzn w białych kombinezonach,
którzy uwijali się, coś przygotowując.
„Nie rozkładaj rąk! Dostyc już rozkła-
dania rąk. Zdrajcy”. Wreszcie zaczęto
wieszać głośniki. Poszłam w kierunku
Rynku i słyszałam za sobą: „O, jak
ucieka, minister”! Kto postawił te plot-
ki?

Spotkanie w Pen-Clubie ze Staszkiem
Barańczakiem. Wyjaśniał dlaczego jest
tłumaczem i przekonywał, że zawsze
jest tłumaczem, nawet jak pisze włas-
ne wiersze. Tłumaczył siebie światu i
sobie świat. Innych tłumaczy, bo chce
ich zrozumieć. A zrozumieć wiersz to
nie tylko wytłumaczyć jego treść, ale
także formę. To są rzeczy nierozzerwal-
ne. Też reżyserowałam jedynie po to,
żeby zrozumieć. A teraz? Niczego nie
rozumiem, nie mam czasu zrozumieć
i ten cudowny luksus egoizmu, przypisy-
wanego twórcom, muszą zawiesić na koł-
ku.

4 V 1990

Kolejne spotkanie z Tadeuszem
Lomnickim na temat Teatru Narodo-
wego. Było w tym wszystko: wszech-
objmująca miłość do zawodu, skrom-
ność i dumna wynikająca z poczucia
własnej wartości, bezradność wobec

Niestety niewiele jest Tadeuszów
Lomnickich wśród nas! A z Teatrem Na-
rodowym dalej nie wiem co zrobić.

1. IX 1990

Wczoraj były w Gdańsku główne ob-
chody X-lecia Solidarności. Sama, na
prośbę Wałęsy, a naprawdę Szymona
Pawlackiego, ustalałam listę tzw. kultu-
ralną, z której przejechała tylko Maja
Komonowska. A ponadto była część rzą-
du, trochę starych działaczy, koleżan-
ek z „internatu” w Gódkapi i tłum
dla mnie nie znanych, ale bardzo waż-
nych.

Gdańsk szary, brudny, pomazany na
dodatek napisami: „Mazowiecki musi
odejść”. Triumfalny Lech skłócony ak-
tualnie z triumfalnym kościołem (mó-
wią, że rozmawia już tylko bezpośrednio
z Duchem Świętym).

Jak przyjechałam poproszono mnie
do salki na lewo, gdzie w 80. roku ra-
dziła komisja rządowa. Weszliśmy z
Drawiczem. Siedzieli: Jagielski, Koło-
dziejski, Fiszbach i jeszcze jakiś gru-
by stary dygnitarz (?) Jagielski mnie
ujął. Siwy, wychudzony, autentycznie
wzruszony. Wszyscy z komitetu straj-
kowego, którzy zaglądali do salki, wi-
tali go jak swego i robili to z wielką
serdecznością. Ma satysfakcję. Mówił
o sile Wałęsy z wielką admiracją.

Potem już na samej uroczystości w
dusznej i gorącej sali BHP Wałęsa
przywitał wszystkich (generalnie), zro-
bił pauzę i powiedział: — „A szczegól-
nie gorąco witam człowieka, który to-
warzyszył całej naszej walce — pre-
miera (tu zawiesił głos) — któryś z
tłumaczy nie wytrzymał i dodał: Ma-
zowieckiego, a Wałęsa skończył — „Ja-
gielskiego”. Powiało grozą!

Uratował sytuację Szymon. Gdy za-
powiadał Mazowieckiego powiedział:
NASZEGO PREMIERA, premiera RP!
Boże, jaka to szkoda! To poczucie si-
ły? Ogronnej sily, kiedy widzi się ich
obu razem. Ale kiedy błyska stal —
znoszą się wzajemnie i cała metafizy-
ka wynikająca z charyzmy ich obu,
bierze w łeb. Zostaje puste miejsce.
Jakby potencjalne dobro zamieniło się
w realne zło.

Tak czułam i tak myślałam siedząc
pod krzyżami na mszy koncelebrowa-

lebrantom. Wtedy Kaszpirowski na-
chylił się do mojego ucha i zapytał:
„A szto oni kuszojut?” Miałam do wy-
boru, albo powiedzieć, że chleb, albo
Ciało Jezusa. Wybrałam to drugie,
zdając sobie sprawę z ewentualnych
konsekwencji. Zrozumiałam jak bardzo
jest to wszystko jemu nie znane, dziw-
ne, tajemnicze i ważne. Odpowiedzia-
łam mu: — „Ciało Chrysta”. Spojrzał
ze zdziwieniem. Poczulałam się jak ka-
nibalika. „Potem wychylił kielich i
rzekł: oto krew moja” — Gulbinowicz
jeszcze trzymał kielich, gdy Kaszpi-
rowski zapytał: — „A szto pijut?” Od-
powiedziałam: — „Krew Chrysta”.
Zdów spojrzał przerażony: „Kak sto?”

Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie
naprzeciw purpuratów, nie mogłam
więcej moją kiepską ruszczyzną, robić
mu wykładu o tajemnicach wiary.
Kiedy powiedziałam: „Chleb i wino”
uśmiechnął się z ulgą.

Potem zaczął chodzić stoczniovec
z tacą. Wygrzebałam banknot i cze-
kałam aż podejdzie. Kaszpirowski: —
„A szto mnie dziełać kak u mienia ni-
czepo w karmanie?” Uspokoiłam go,
że dał już dosyć (dał 60 milionów
dzień wcześniej na tablicę pamiatko-
wą), że to nie jest obowiązkowe. Zmar-
twił się. Ale po chwili przyszedł do
niego chłopczyk i wręczył mu 200 ty-
sięcy.

Teraz ja zaskoczona spytałam: —
„A od kuda ten rebionok znał szto
wy nie imiejecie dzieneg?” Kaszpi-
rowski spojrzał na mnie z politowa-
niem: — „Znał”. I zapatrzył się w ot-
tarz. Gulbinowicz zszedł z otarza i
rozdawał teraz komunię wiernym. Za
nami, w drugim rzędzie, stał Wielo-
wieyski i jeszcze któryś z senatorów.
Podchodził Gulbinowicz. Kaszpirowski
wstał. Ciągnę go za rękę: — „Wy-
nie!” Kaszpirowski: „Poczemu niet?
On nam nie budiet dawat?” Ja: —
„Niet”. My grieszne”. Spojrzał na mnie
i wstał. Widocznie on czuł się bez-
grzeszny.

Pocłagnełam go za rękę. Usiadł nie-
chętnie. Próbowałam coś tłumaczyć.
Nie umiałam.

Zaśpiewaliśmy „Boże, coś Polskę”.
(Szymon nachylił się i spytał: — „Czy
na pewno „Ojczyznę wolną” — poblo-
gostawo Panie”. Powiedziałam — „na
pewno”. Teraz to już tylko od nas bę-
dzie zależać).

Nie poszłam ani na kolację do ks.
Bobdanowicza z NMP, ani do ks. Jan-
kowskiego, który zapraszał mnie, dając

bardzo starzy i starcy. Nina An-
drycz, Lorentowicz, Szczepkowski, Mro-
zewski, stareńcy Lubicz-Lisowsy (nie
wiadomo dlaczego ni stąd ni zowąd
ona podarowała w kościele pudełko
kremu Palmolive mnie i Andrzejowi
Lapickiemu) i wielu wielu innych.

Młodzieży nie było. Jurek Timosze-
wicz, który przy grobie stał naprze-
ciwko mnie, wydawał się stary prawie
jak Korzeniewski, który jak Mojżesz
wyrósł zza krzaka w dalekiej alej-
ce... Deszcz zaczął siąpić. Andrzej prze-
mawiał długo i pięknie. Potem mnie
wypchnęła Maja Komorowska. „Idź —
powiedziała — to wyjątkowy pogrzeb”.
Dziś się „coś” skończyło. Zrozumiałam
dlaczego wszyscy wydawali się tacy
„pokolemiowi” — To sprawa Eichle-
równy.

W kieszeni miałam jakieś notatki,
które na wszelki wypadek dostawałam
od Jasia Siedkery. Wydały mi się ba-
nalne. Nie chciałam mówić wcale, ale
potrącana przez Maję ostatecznie wy-
szłam. Chciało mi się płakać jak zawa-
szam na pogrzebach... Powiedziałam o
ostatnim engagement pani Leny. Mie-
siąc temu zaproponowałam jej, już
ciężko chorej, stałą współpracę z Teat-
rem Narodowym. Umowę dożywotnią.
Myślałam, że dzięki temu, chociaż nie
istniejący będzie symbolicznie trwał
nieprzerwanie. Nie udało się.

Teraz odchodziła jedyna jego ak-
torka. (Mój list odczytała jej Duda
Lorentowicz. Pani Lena podobno była
wzruszona!)

Idąc za trumną rozmawiałam o
„herbatce u prymasa”. Spotkanie
wszystkich stron politycznych przed
decydującą datą — 20 września w par-
lamencie i po decyzji Lecha: „na pre-
zydenta”.

13.XII.1990

Nagrałam dziś audycję o wigili w
1981 roku, w więzieniu „na Młynie” i
o wigili w pociągu, kiedyś przed la-
ty, kiedy zastała mnie w drodze. Przy-
padkowi ludzie, towarzysze podróży
sobie nawzajem zastępowali najbliż-
szych, na chwilę stawali się nimi, bo
taka była potrzeba i rola wszystkich.
Stać nas było w tym momencie na
ogromną serdeczność. Co będzie w tym
roku?

O tym myślałam dziś w Sejmie, idąc
przez zapchany korytarz, ocierając się
o nienawiść, podejrzliwość iłość. Po-
klóciłam się z L.M. Tak bardzo chcia-

3. I 1991

Wczoraj rozmowa z Balcerowiczem
u niego w URM-ie. Zdziwo wiózł mnie
zadowolony. Do końca nie wierzył, że
jestem zdecydowana, że jadę wytłuma-
czyć się Balcerowiczowi dlaczego nie
chcę zostać.

Jeszcze do wczoraj miałam pewne
wątpliwości. Martwiłam się o los Fun-
dacji. Żle jej życzą — a sprawa ciągle
jeszcze definitywnie nie była zata-
wiona. Za wszelką cenę chociaż to
jedno chciałam uratować. Tyle wysi-
łku zostało w to włożone.

Doświadczenia moje jako dyrektora
i jako ministra przemawiały przeciw
pozostawieniu kultury tylko na łasce
budżetu. Fundacja będzie mogła już w
niedługim czasie uratować wiele spraw
nie do zatawienia przez budżet. Jes-
cze raz wszystko przemyślałam i zde-
cydowałam jasno postawić sprawę Bal-
cerowiczowi, który był przecież jednym
z jej „ojców chrzestnych” i dobrze jej
zyczył.

Balcerowicz już czekał. Zdenerwo-
wany tak bardzo, że aż nie próbował
tego ukryć. Nigdy go takim nie wi-
działam. — „Jestem pełen niepokoju i
wątpliwości” — zaczął. To mi ułatwiło
sprawę. Złożyłam mu szczere gratula-
cje. Mógł uciec i patrzeć jak się „pię-
nie wali”, ale został.

Uśmiechnął się, jakby nieobecny i
głośno myślał: „Proponowali mi stano-
wisko premiera. Odmówiłem” — i za-
stanawiał się jak mu się uloty współ-
praca z Bieleckim, drugim ekonomistą.
— „Co my będziemy we dwóch robić?
Za wszelką cenę chcę uniknąć konflik-
tów”.

Przeszliśmy do mojej Fundacji. Wy-
recytowałam mu skomplikowane pro-
pozycje wchłonięcia spółek, holdin-
gów, przeczytałam nazwiska darczyń-
ców i doradców. Notował. Pytał i do-
pięro po chwili zaczęliśmy rozmawiać
o mojej decyzji. Gdy powiedziałam
„NIE”, nie nalegał.

Wracając myślałam jak on czuł się
będzie w nowej sytuacji. Trudno mi to
było sobie wyobrazić. Przypomniał mi
się wigilijny toast Krzysztofa Kozłow-
skiego. W ciągu całego tamtego wie-
czoru siedział milczący i palił fajkę.
Odezwał się jako ostatni. Zacytował
ministra Kwiatkowskiego: — „Rząd,
który podjął 40 procent trafnych de-
cyzji nie jest złym rządem. Walka o
pieniądze jest wskazana, a walka o
lampasy gubi rządy i państwa”.